



BLIZNA

Eugeniusz Oginski

„Uparcie i skrycie, och, życie, Kocham cię nad życie” - Wojciech Młynarski

BLIZNA
Copyright©2020 by Eugeniusz Ogiński

Redakcja i korekta
Ewa Dąbrowska

ISBN 978-83-953132-0-2 – wydanie elektroniczne EPUB, MOBI, PDF

[Kup książkę](#)

Eugeniusz Ogiński

BLIZNA

Tata, a wtedy na wojnie... zastrzelił żeś jakiego Niemca?

„Uparcie i skrycie, och, życie, kocham cię nad życie”
Wojciech Młynarski

BLIZNA

Siedział grzecznie przy oknie wychodzącym na podwórkę i cierpliwie czekał, aż ojciec skończy się golić i poprosi go o pomoc. Miał na sobie śnieżnobiałą koszulę, czarne spodnie na szelkach, skarpetki w niebiesko-szare prążki i nieco już zdarte brązowe sandały. Pszeniczne włosy z idealnie uczesanym przedziałkiem opadały skośną grzywką na wysokie czoło, dotykając gęstych, mocno zarysowanych brwi nad zupełnie do nich niepasującymi błękitnymi oczętami.

Co rusz kręcił głową, drapał się w szyję i wciskał palec wskazujący za ciasny, wykrochmalony kołnierz płóciennej koszuli, jakby brakowało mu tchu. Cały czas wodził wzrokiem po przylegającej do podwórka niewielkiej zagrodzie i gromadce tarzających się w suchej ziemi kur.

– *Pięć, sześć, siedym...* – liczył, ledwie otwierając usta.

Wczoraj wieczorem, zamiatając podwórko, doliczył się trzydziestu. Akurat kiedy skończył, przyglądający mu się z ławki przed gankiem ojciec podniósł się, wszedł do stodoły i zaraz z niej wyszedł z siekierą w ręku. Nie oglądając się na syna, wbił ostrze w stojący nieopodal pień i wśliznął się przez wąską furtkę do zagrody. Kury najwidoczniej wyczuły, co się święci; ich gdakanie bowiem, odbiwszy się od pobliskiego lasu, wracało do zagrody głośnym echem, potęgując i tak już trudny do zniesienia jazgot. Paulek posmutniał i przysłonił uszy rękami. A ojciec, Paul Fuhrmann, dorwawszy najstarszą z kur, wcisnął ją sobie pod pachę. Wierzgające nogi spętał sznurem. Zamknąwszy za sobą furtkę, podszedł do pieńka i sięgnął po siekierę. Zanim Paulek zdążył się odwrócić, głowa kury – z rozdziawionym dziobem i strzępiastym grzebieniem – toczyła się już po ziemi, niczym kulka zmiętego kolorowego papieru, a cała reszta, trzymana przez tatę za spętane nogi, wiła się w słabnących konwulsjach. Po minucie kura znieruchomiała, krew przestała kapać. Ojciec wyjął z kieszeni płócienną szmatkę, owinał nią zakrwawioną

szyję i, poszukawszy wzrokiem odwróconego do niego plecami syna, odezwał się łagodnym, jakby usprawiedliwiającym tonem:

– *Niy mazej sie, lōna i tak jajek już niy dowąła. Chyć se jōm tukej, za kark, i zanoś matce.*

Jedenastoletniego Pałulka zemdliło. Mimo to odwrócił się posłusznie, złapał kurę za szyję, tak jak mu ojciec przykazał, i wycierając rękawem spływające po policzkach łzy, powlókł się do domu. Skrzydła martwego ptaka zostawiały na placu znaki podobne do śladów po brzozowej miotle.

– *...dziesiyńć, jedyności...*

Wybiła dziewiąta. Paul Fuhrmann odłożył brzytwę, zdjął roboczą koszulę i półnagi pochylił się nad *wasztyszym*, emaliowaną miednicą wpuszczoną w niewielki stolik z półką na mydło i małym lustrem. Lakier był już pożółkły, łuszczył się, a mętna woda w miednicy, jakby *mlykym rozbielōno*, lekko jeszcze parowała.

– *To po synku* – wytłumaczyła matka Pałulka, widząc męża bełtającego ręką wodę, jakby chciał ją rozgarnąć i doj-

rzeć dno miednicy. – *Niy bydź zaś taki empfindlich! Mydła sie yno trocha rozpuściło. A rynecznik mosz tu świży... trzimej... abo niy, wiyszōm ci go sam, na źdźodle.*

Nie czekając na reakcję męża, wyszła do sypialni.

To była jedna z tych niedziel, które po latach zły się Pałulkowi w jedną cudowną niedzielę.

To była jedna z tych niedziel, które tak naprawdę rozpoczynały się dopiero świątecznym obiadem, w samo południe, zaraz po hejnale mariackim dochodzącym z wiszącej nad drzwiami szczekaczki. Jak tylko zaczynała mieć o socjalizmie, Związku Radzieckim, Polsce Ludowej i rewizjonistach niemieckich, tata wstawał od nakrytego stołu i wyłączał ją. Potem podchodził do *befyja*, korygował wskazówki budzika i wróciwszy do talerza, mruczał pod nosem:

– *Przi obiedzie mo być spokōj, inakszy sie nōm jeszcze, niy dej Boże, kiszki poskryncajōm.*

Pałulek polubiłby i tamte niedzielne przedpołudnia, gdyby nie ten cholerny, wrzynający się w szyję, wykrochmalony kołnierz płóciennej koszuli, musowo zapiętej na ostatni

guzik. Słowa matki – „*Niy bydziesz mi w rozchlastanej koszuli do kościoła łaził*” – były święte. Uwierało jak diabli i jedyne, co pozwalało mu przetrwać półgodzinny marsz i godzinną mszę, to pewność, że zaraz po kościele będzie mógł poluzować kołnierzyk, a w domu, jeszcze przed obiadem, założyć flanelową, miękką jak puch koszulę i nosić ją rozpiętą pod szyją do samego wieczora.

– ...*dwadziścia jedyn, dwadziścia dwa...*

Powracający obraz kury pozbawionej głowy wprowadzić ściszał serce Pałulka, ale już nie tak mocno. Tak musi być. Po to kury hodują, żeby niedzielne obiady były inne, świąteczne. No i jajek już nie znosiła.

Z nie najweselszych rozmyślań wyrwał go donośny głos taty.

– *Pałulek! Pôdź sam i polyj mie. Yno dej pozōr, cobys niy narozlywoł.*

Nabrawszy wody do garnuszka, spłukiwał namydlone plecy ojca tak, żeby strugi spływały prosto do miednicy. Pod lewą łopatką, blisko kręgosłupa, widniała blizna wielkości

pajdy chleba. Nie pierwszy raz ją przyuważył, ale i tym razem nie zdobył się na to, by o nią zapytać.

Paul wytarł się, rzadkie włosy odsłaniające głęboką już łysinę uczesał aluminiowym grzebieniem *co go łód wojny mioł*, założył białą koszulę, szary krawat na gumce, czarne spodnie i wyglancowane buty.

– *Helcia, nō jak tam, jeżeś gotowo?* – krzyknął w stronę sypialni.

Wyszła jak na zawołanie, ubrana po niedzielnemu, piękna. W szykownej sukni w szaro-czarne prążki, wykończonej szerokim kołnierzem, tak samo sztywnym i tak samo śnieżnobiałym, jak kołnierze świątecznych koszul męża i synka.

– *Ja, mogymy iść* – zarządziła.

Przechodząc przez *antryj*, zerknęła w lustro, na suknię. Poprawiła ją w talii, ale tak tylko, machinalnie, bo leżała jak ulał. Wszystkie swoje suknie, podobnie jak koszule męża i syna, szyła sama na swojej starej przedwojennej *singerce*.

Paul zamknął dom na klucz, a furtkę w ogrodzeniu ze sztachet – na skobel. Droga do kościoła prowadziła przez pół

miasta. Rodzice szli energicznym krokiem, trzymając się pod rękę, Paulek dreptał dzielnie przed nimi. By dotrzymać tempa, od czasu do czasu śmiesznie podskakiwał. Grał przy tym na swoich organkach „Zuch” – ups, za dużo powiedziane, raczej ćwiczył – jakieś tam swoje i nieswoje melodyjki.

Do domu wrócili zaraz po mszy. Matka, nakrywając kuchenny stół białym obrusem, nie omieszkała wygłosić rutynowego polecenia:

– Yno mi sie niy rozłażcie. Kluski sōm gotowe, modro kapusta tyż, miynso pod pierzinōm, na pewno jeszcze ciepłe, a komportu niy byda grzoła, przeca wōm zimny smakuje. Paulek, rozkłodej talyrze i szklōnki i o besztyku zaś nie zapōmnij.

Po obiedzie ojciec zebrał kości po kurze i wrzucił je do garnka, zmył resztki *zōłży* z talerzy, dorzucił piętki suchego chleba, zalał wszystko przegotowaną wodą i wyszedł na podwórko do machającego ogonem Reksa. Potem zajrzał do dwudziestu dziewięciu kur, ośmiu gęsi i świni. Matka tymczasem zmywała *szkorupy*, a Paulek wycierał je do sucha i odkładał na czystą płócienną serwetę. Jak tylko skończyli swoje poobiednie zadania, ojciec przypiął Reksowi smycz

i wszyscy razem wyszli na spacer do lasu, *abo yno tak, pola se pooglōndać i do sōmsiadōw jakich zajrzeć...*

*

Któregoś dnia zaraz po szkole Paulek zapytał matkę o wojnę i o bliznę na plecach taty. Nic nie mówiąc, matka poszła do sypialni i po chwili wróciła z grubą szarą kopertą w dłoni. Nieco się ociągając, wysypała z niej jakieś odznaki i medale wojskowe.

– *Pooglōndej se... i posłuchej mie...*

Do tej pory o tej strasznej wojnie najwięcej nasłuchiwał się w szkole, trochę od babci Gertrudy, mniej od mamy, a najmniej od taty. Tym razem matka się rozgadała.

– *Najprzōd to sie z Ruskimi bił. A potem, jak już w polskim wojsku był, to z hitlerokami... ja, tymi samymi hitlerokami, co tu pod naszymi łoknami oświyncimiokōw gnali na zatracyni. A jak kiery słaby był, to do niego szczylali i na rancie łostowiali. Boroki były te oświyncimioki, boroki. A najbardziej to mi tych dziatek było żol... Ciepali my w nich chłybym namoczōnym w wodzie i zagniecōnym w kulki, coby wyglōndały jak kamiynie. Ale i tak trza było łokropnie pozōr dować, bo*

szczyłali do tych, co pajdami chłyba ciepali... I te pierōny jeszcze godały, że szczyyłajōm skuli tego, że sie po ziymi chłybyim niy ciepie, że to grzych – zakończyła, kiwając głową, jakby na potwierdzenie z trudem przechodzących jej przez gardło słów.

Paulek poczuł, że rozpiera go duma z mamy i tamtych maminych kawałków chleba udających kamienie i duma z taty i jego medali: Za Warszawę, Wał Pomorski i Za Berlin.

– Mamo, nō a ta blizna taty?

*

Dwa tygodnie później, opierając się o tylną burtę wózka do przewożenia ziemniaków z pola, węgla z geesu albo drzewa z lasu, gapił się w rozgwieżdżone niebo. Ojciec ciągnął wózek bez trudu, bo teren był płaski, droga asfaltowa i prosta jak bicz. Paulek rozmyślał o gwiazdach i o księżycu, który właśnie wyszedł zza drzew, ale przede wszystkim o dziwnej bliźnie wielkości pajdy chleba, schowanej teraz pod czarną kurtką taty. Dotąd wołał o nią nie pytać, choć już od dawna go korciło. Może od taty dowiedziałby się czegoś więcej? Ale

wtedy mógłby usłyszeć coś, o czym wolał nie wiedzieć. A poza tym podejrzewał, że tata nie chce, żeby o nią wypytywał.

Ciemna ściana lasu rosła w oczach. Ojciec milczał. Paulek pomyślał, że to chyba dobry moment na trudne pytania. Taaak... ale najpierw zagra na organkach. Wiedział, że ojcu się podoba, jak na nich gra. Bo kiedy na ostatnim festynie ludowym po pierwszej setce i drugim piwie tata podśpiewywał sobie śląskie i nieśląskie piosenki, a on całkiem zgrabnie mu przygrywał, to w przerwach na zagrychę słyszał słowa ojca kierowane do biesiadników:

– *Co jak co, ale słuch mo po mie! Co niy? Moja krew!*

Zagrał „Jeszcze Polska nie zginęła”. Perfekcyjnie zagrał. Nic dziwnego, przecież tę melodię słyszał prawie codziennie, jak nie w szkole, to w radiu lub na pierwszej lepszej państwowej uroczystości.

W oknach pobliskiej leśniczówki rozbłysły światła. Ojciec, nie zwolniwszy kroku, odwrócił się i ścisłym głosem odezwał się po raz pierwszy, odkąd wyjechali z domu:

– *Niy grej, synku, bo nos jeszcze feszter usłyszysz.*

Pałulkowi zrobiło się głupio i czym prędzej schował organki. Po krótkim milczeniu zapytał przyciszonym głosem:

– *Tata? A wtedy na wojnie... zastrzelił żeś jakiego Niemca... Tata?*

Ojciec milczał.

– *Musiół żeś przeca jakichś hitlerokōw zabić. Bo za co byś te medale miał?*

Dopytywał, choć obawiał się, że może tatę zirytować. Dlatego zdziwił się, gdy ten chrząknął raz i drugi, jakby zbierał się do dłuższej *godki*. I nic nie wskazywało na to, że się zdenerwował. Może dlatego, że był odwrócony plecami, a wokół panowała ciemność? Głos miał przy tym jakiś taki nadzwyczaj spokojny...

– *Jak by ci to pedzieć, synku... Byłech ranny. Szpliter łód ruskigo granata mi w łopatka włoż. I trefił zech do szpitala w Czechach. Rana sie paskudziła, mało wiela, a bych gangryny dostał...*

– *I co?*

– *Nō łojca byś dzisiaj ni miał!*

– *To stōnd mosz ta blizna na plecach jak pajda chleba?*

– *Ja... Łod tamtego szplitra.*

To nie była odpowiedź na pierwsze pytanie, mimo to Paulek poczuł się lepiej i nabrał odwagi, bo ojciec powiedział o bliźnie to samo, co matka.

– *Nō a po tym, jak żeś sie wylizot i drugi roz poszot na frōnt?*

– *Po czym?*

– *Nō... po tym, jak żeś już w polskim wojsku był. Żech słyszot, że pod Stalingradym gewerōm żeś o zymia ciepnoł i do ruskich uciyk, i że cie tam zaroz do Polokōw dali. I godot żeś, że dobrze, żeś po naszymu godać umioł... tak żeś godot.*

– *Komu?*

– *Nōōō... mamie...*

– *Prowda, synku.*

– *Nō to zabił żeś jakigo Nymca, abo niy?*

Ojciec westchnął i zamilkł. A syn, wiedząc, że ojciec *godo yno wtedy, jak go trza słuchać*, cierpliwie czekał.